

Ostatni dzień na Górze Świętej Anny

Dnia 4 lipca zlikwidowano blokadę budowy autostrady przez park krajobrazowy Góra Świętej Anny. Po likwidacji obozu założonego przez protestujących na granicy obszaru leśnego (obóz ten przetrwał miesiąc) i wycięciu drzew, kilkadziesiąt osób próbowało na początku lipca powstrzymać budowę poprzez zajęcie dwóch opuszczonych i przeznaczonych do wyburzenia pod autostradę budynków. Tym razem blokada trwała krócej, a usuwaniu protestujących towarzyszyły akty przemocy. Poniżej przedstawiamy relację jednego z uczestników blokady. Chcemy, żeby była ona pretekstem do podjęcia dyskusji. Wobec naturalnego zaostrzania się form protestów w obronie przyrody i stosowania coraz to bezwzględniejszych środków ze strony inwestorów chcemy na łamach „Dzikiego Życia” rozpocząć dyskusję nad granicą dopuszczalnych form protestu i reakcji ze strony sił porządkowych, a przede wszystkim prywatnych firm ochroniarskich. Jest prawdopodobne, że konfliktów w obronie przyrody będzie przybywać i możemy się spodziewać, że mogą im towarzyszyć dużo bardziej ekstremalne wydarzenia niż miało to miejsce na Górze Świętej Anny. Dlatego warto poznać opinie na ten temat z kręgu osób zaangażowanych w sprawy ratowania przyrody. Tym bardziej, że w wysokonakładowej prasie ukazują się artykuły o ekoterroryzmie pełne przekłamań i absurdalnych interpretacji, a podczas dyskusji wśród ekologów, na spotkaniu radykalnych organizacji ekologicznych w Inowłodzu, nie było zgody co należy rozumieć pod terminem „radykalny”. Oto relacja osoby, która była w zajęтым budynku:

Właściwie zaczęło się poprzedniego dnia, w piątek, 3 lipca 1998 roku. Wtedy koparki najpierw zaatakowały duży dom, „Fort Wilki Św. Anny”, potem, po napotkaniu na zaciętą obronę wycofały się. Wieczorem nastąpił atak na mniejszy z zajmowanych domów – „Biedronkę”. Koparkarze z firmy Ilbau Kirschner, gdyby nie czynny tym razem opór, to prawdopodobnie kogoś by zabili lub okaleczyli. Szczególną brutalnością wykazał się Niemiec - szef koparkarzy. W pewnym momencie widząc, że podległy mu operator nieco się waha, wyrzucił go z kabiny i sam uderzył w ścianę pod dachem, nad którym siedzieli ludzie. Otrzeźwiły go dopiero kamienie i cegłówki. Ten sam Niemiec, który przedtem w Ligocie uderzał koparką w drzewa z ludźmi, na znak swojego do nas stosunku zdjął potem spodnie i wypiął swoją niemiecką d...ę. Był to jedyny moment jego działalności, którym zainteresowała się policja. Potem nastąpił atak ochroniarzy z firmy „Gwarant”. W ciągu kilku godzin usunięto z budynku wszystkich protestujących. Następnie wywożono ich kilka kilometrów poza teren budowy. W nocy, na ruinach „Biedronki” płonął wielki ogień. Około północy wdrapałem się do „Fortu Wilków”. Noc była ciepła, pochmurna i ciemna. Na piersiach miałem zapaloną latarkę, żeby poradzić sobie z przesuwaniem prusów po mocno już wystrzępionej linie. Na górze trzeba było uważać, żeby nie nadziać się na któryś z obronnych pocisków z ekskrementami. Jest duszno – wybijamy z Polesiem szybę i udaje się nam trochę zasnąć. Pobudka jest zaplanowana na wpół do szóstej, na pół godziny przed zapowiedzianym atakiem. Oczywiście budzę się dużo wcześniej – na nic próby, żeby jeszcze zasnąć, w końcu dzień zapowiada się emocjonująco. Rano krótka narada. Decydujemy, że na wypadek ataku koparek mamy prawo do obrony wszelkimi dostępnymi środkami, jeżeli natomiast ochroniarze będą nas ściągać „ręcznie” wtedy poprzestajemy jak dotąd, na biernym oporze. Taki komunikat przekazujemy drugiej stronie przez Maćka z Warszawy, który pracuje na dole z ocalałą tubą. Włazimy po linie na dach i siadamy okrakiem na jego szczycie. Kilka osób blokuje przejścia pomiędzy poszczególnymi piętrami, jedna siedzi na brzegu dachu – jest tam malutka metalowa barierka, o którą można oprzeć nogi, ale podpora to dosyć iluzoryczna. Nie mamy już uprząży alpinistycznych i żeby utrudnić pracę ochroniarzom wiążemy się nawzajem liną. Okazuje się, że koparkarze jednak się zreflektowali i o 6-tej rusza na nas tylko „piechota”: około 30 -tu ludzi z Gwaranta. Na głowach mają kaski jak u budowlańców, ale część ma coś bardzo, mnie pamiętającemu dawne czasy, znajomego – równie stare zomowskie hełmy z osłonami z pleksi, a w rękach tarcze. Na hełmach są jeszcze PRL-owskie orzełki bez korony. Na dachu jest nas około 15 osób. Ponad 30 utrudnia ochroniarzom pracę na dole. W tym czasie policja zamknęła szosę przebiegającą koło domu,

otoczyła teren znajomą białą czerwoną taśmą, próbuje zneutralizować dziennikarzy, ale ekipy TVP oraz zdecydowanie najbardziej obiektywnego TVN-u cały czas filmują. To na pewno hamuje zapędy ochroniarzy. Tomek ma ze sobą telefon i cały czas dzwoni z dachu do mediów. Na dachu jest większość najbardziej aktywnych kampanierów kampanii na rzecz ekologicznego transportu. Żartujemy, że „znowu przegrywamy z kretesem”, ale jest wreszcie czas na „obgadanie strategii”. Jest trochę zimno, ale na szczęście się nie rozpadało. W oczy gryzie dym ze świecy dymnej, która wybuchła na strychu. Żeby było jeszcze milej cały czas dużo palimy, pośrodku na kominie tkwi biała czerwona flaga, mamy mocne przekonanie, że stoi tam nie na pokaz, ale że naprawdę bronimy honoru i interesów naszego kraju.

Ochroniarze biorą się do pracy, słychać łomot rozwalanych stropów, informujemy się nawzajem z ludźmi z dołu o tym co się dzieje. Dochodzą informacje o zdobywaniu kolejnych pięter. Potem próbują przystawić drabiny do dachu, ale to się nie udaje - wystarczy, że jedna zdecydowana osoba usiądzie na jej szczycie i grozi to wszystkim „odlotem” z drabiną z drugiego pietra. Ludzie z Gwaranta postanawiają się do nas dobrać inaczej. W pewnej chwili około 2 metry pod nami rozwalają poszycie dachu i oto widzę scenę jak w jakimś filmie science fiction, gdy nieopodal wyłania się z dziury w dachu autentyczny zomowski hełm i postać byczka postury około 2 metrów i wagi na pewno ponad 100 kilo. Pamiętam tego giganta z lasu koło Ligoty przed miesiącem - niezbyt sympatyczny, teraz z bliska widzę jego twarz, Jest za ciężki, żeby włączyć na szczyt dachu. „Czekam tu na was” - mówi i wykrzywia twarz w czymś co ma być uśmiechem. Szczupli wdrapują się do nas - zaczynają od przecięcia liny, którą jesteśmy przewiązani. Udaje nam się wytrącić im nożyce, ale w końcu robią to jakimś kuchennym nożem. Potem wybierają kolejne ofiary i wydzierają z objęć towarzyszy. Kuby Łukaszewskiego o mało nie udusili liną, którą wiązali mu na szyi, Poleś za pierwszym razem się wyrwa i ucieka na drugi koniec dachu. Przychodzi też kolej na mnie. Siedzę okrakiem i przyciskam się do gąsiorów, ale w końcu odrywają mnie od dachu i zrzucają po pochyłości prosto w ramiona giganta. Na strychu jeden z szefów firmy Gwarant zaczyna sobie powetowywać stresi o jakie na pewno przyprawiała go obecność telewizji i zaczyna mnie kopać. Kiedy próbuję się stawiać gigant robi coś dziwnego z moją głową i poprzestaje już tylko na zasłanianiu co wrażliwszych części ciała. Na dolnych piętrach już nie ma bicia. Ochroniarz jest nawet życzliwy, pyta czy dam radę sam zejść z drabiny. Potem okazało się, że i tak miałem szczęście, Poleś dostał regularne bicie - ma skrwawioną całą głowę, na skroni guz wielkości śliwki, na dodatek ochroniarze chlustali ludziom w twarz szczykami. To nie koniec. Na dole po spisaniu przez policję, już poza terenem budowy, rzucają się na nas znowu ludzie z Gwaranta i na oczach policji wrzucają do cywilnego mikrobusu. Policja proszona o interwencje wobec ewidentnego przestępstwa pozbawienia wolności, proponowała z uśmiechem znamionującym pewność faktu, że żyjemy wszak w państwie prawa, żeby złożyć pisemną skargę. Poleś próbował się bronić, bo istniała obawa, że Ilbau Kirchner opłacił ochroniarzy, żeby znowu go pobili, tym razem poza miastem. Znowu brutalne bicie, but na twarz i Poleś ląduje z nami w furgonetce. Na szczęście jedziemy w większej grupie. Przedtem reszta ekipy próbowała blokować samochody znanych „nieznanych sprawców” wywożące nas poza miasto, co też spotkało się z brutalną reakcją ludzi z Gwaranta wspieranych przez policję. Obserwowaliśmy to jeszcze z dachu. Zostajemy wywiezieni na jakieś stare wyrobiska i po prostu wypuszczeni. Część z nas wraca. ale reszta woli chwilę popatrzeć na jeziorko, zapalić, trochę ochłonać. Teraz, jak parę tygodni temu w Kędzierzynie pod aresztem, czujemy wielką ulgę, cudowne odprężenie, nie ma jeszcze dziesiątej, ale słowa o obronie góry własnymi ciałami dotrzymaliśmy.

Potem spotkanie w leśnym szałasie. Z daleka widać jak buzuje wesoły ogień niczym z książek Tolkiena. Wokół kilkudziesięciu dzielnych towarzyszy - przez chwilę milczymy, potem zapisujemy najważniejsze przypadki bezprawia i bandytyzmu, ale bez wielkiego zapału i wiary w sens tracenia czasu na skargi do prokuratora. Nie jesteśmy w końcu synami Wałęsy i także dzięki tej akcji lepiej wiemy gdzie żyjemy. Potem muszę wyjeżdżać, jest tak magicznie i ciepło, że jeszcze chciałbym zostać choć przed chwilą narzekałem na niedociągnięcia. Ostatnie uściski z Tomkiem, Bartkiem, Polesiem i

jedziemy z Łukaszem i Anetą na pociąg, bo wieczorem nie tylko mecz, ale i niejako na deser udział w audycji w „Info radiu”, na żywo, z inżynierem Mrozem – budowniczym autostrady. Inżynier poważnie udowadnia niższość samosiejek wobec drzew sadzonych przez człowieka. W odpowiedzi przypominam, że wszystkie puszcze z tego punktu widzenia są mniej warte od plantacji. Dopiero potem kojarzę, że oto po raz kolejny spełniają się przepowiednie Huxleya i pewno niedługo dzieci z próbówki będą cenione bardziej od nieregularnych „samorodków” z naszego pokolenia.

Podsumowanie? Tak naprawdę to wszystko przebiegało zgodnie z tym czego się spodziewaliśmy. Był to przede wszystkim egzamin z odwagi i determinacji, miejsce gdzie wiele osób mogło otrząsać się w kontaktach z „przedstawicielami prawa” i najemnikami z firm ochroniarskich (pamiętam rok temu gdy „złe” SLD forsowało ustawę o ochroniarzach, wówczas Unia Wolności i Solidarność głośno protestowały przeciwko zrównaniu prywatnych armii z policją, teraz, kiedy ich posiadanie okazuje się wygodne, jakoś o zmianach w tej dziedzinie nie słychać). Zarzuty o to, że nie potrafiliśmy przekonać lokalnej społeczności są na pewno głęboko słuszne, tyle tylko, że jakbyśmy to potrafili zrobić, to wygralibyśmy wybory w tym kraju. W czasie akcji zaczęły generalnie pojawiać się dwa rodzaje dobrych rad: albo takie, które już dawno sami zrealizowaliśmy, albo takie, których realizacja jest utopią, a „doradcy” nie podają w jaki to cudowny sposób możnaby ich marzenia zrealizować. Ale wielu ludzi nam pomogło. Samych datków zebraliśmy około 2 tysiące złotych. W kontaktach z mediami na pewno popełnialiśmy wiele błędów, któż ich nie robi. Ważne, żeby wyciągać z nich wnioski. Bitwa o górę na pewno pokazała też konieczność budowania własnej reprezentacji politycznej. Nie wiem czy musi ona mieć postać klasycznej partii politycznej, ale wiem, że przed taką akcją musi być jasne, że stoi za nią konkretna „firma”, która bierze odpowiedzialność zarówno za sukcesy jak i porażki i z nią też trzeba prowadzić negocjacje. Inaczej zaczynają się gry o to kto i kiedy kogo reprezentuje, podczepianie się pod akcję ludzi nie mających z nią nic wspólnego wtedy, gdy zaczynamy odnosić sukcesy, straszenie przez stronę przeciwną, że ci którzy rozmawiają będą pociągnięci do odpowiedzialności, próby dzielenia nas na liderów i niewinne dzieci poddane manipulacji – to wszystko trzeba zmienić.

Szkoda, że było nas tak mało. Rozmawiałem kiedyś z moim amerykańskim przyjacielem i opowiadałem mu, jak to u nas w Polsce ludzie z tytułami naukowymi czy starsi wstydzą się brać udział w akcjach bezpośrednich i np. usiąść na ulicy przed koparką. Odpowiedział, że u nich w Stanach profesorowie wyższych uczelni idą na takich manifestacjach w pierwszych szeregach. Wczoraj natomiast pewna Szwedka dziwiła się, że Polacy zawsze zanim powiedzą co myślą najpierw tłumaczą, że nie są oszołomami i że rozumieją, że są inne zdania, a właściwie to wiedzą, że nie mają racji.

Zbigniew Herbert napisał, że nasi rodacy nie mają tej cechy, która odróżnia mężczyzn od niemężczyzn – odwagi cywilnej, akcja na górze daje nadzieję, że nowe pokolenie aktywistów, które dzisiaj kończy szkołę i studiuje, zmieni ten haniebnny stan rzeczy. Szczerze wierzę, że kiedyś wrócimy na górę i przywrócimy ją życiu. Dzisiaj ustąpiliśmy przed siłą, za którą stoją pieniądze, zło i głupota, ale wojna trwa i niech nikt się nie łudzi, te złożyliśmy broń. Są porażki, po których jeszcze bardziej chce się walczyć. Prędzej czy później karta się odwróci, jak szybko to się stanie zależy od wytrwałości i determinacji każdego z nas, od codziennej rzetelnej pracy i traktowania całego życia jako narzędzia, o które trzeba dbać, żeby w razie potrzeby było jak najbardziej przydatne dla sprawy.

Olaf Swolkiń